NUMER 34. DNIA 2. WRZEŚNIA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

„Kto, mogąc wybrać, wybrał zamiast domu gniazdo na skałach orła“.

(Dokończenie).

Nazwano go próżnym. Na dowód przytoczono mnóstwo urywków z listów i z poezji jego; wszak walczył o palmę pierwszeństwa z Mickiewiczem, nazwał się „królewskim synem pieśni“, obrońcą przyszłości *). Zarzucono mu nieprawdę w tym wierszu z „Testamentu“:

Któż drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?

Jedna z najjaskrawszych pomyłek. Nie ten jest próżnym, kto oklasków pragnie, ale ten, kto dla oklasków zmienia swoje ja, kto przystosowuje się dla pustej chwalby krótkowidzów do ich krótkowidztwa. Czy tak postąpił Słowacki? Bynajmniej. Im w dalsze lata jego twórczości wglądniemy, tem dalsze odsunięcie się od popularności widzimy. To dowód, że rozwijał on idee swoje i dyspozycjom duszy dawał folgę, zupełnie bez względu na sąd świata. Że chciał, aby za jego sztandarem, za jego ideami stanęli wszyscy — któż tego nie chciałby? ale to nie jest próżność! — Gdy się nie spełniło pragnienie pozostały dwie ścieżki do wyboru — pójść z falą — lub dalej przeciw niej. Obrał drugie. Epoka „Króla Ducha“ to szczyt bezdomności Słowackiego. A nietylko dlatego, że nieporozumienie między nim a współczesnymi — stało się przepaścią, ale, że w „Królu Duchu“ dochodzi Słowacki do samopoznania (głównie uczuciowego) istoty bohaterstwa i bezdomności w niem. Wcieleń Hera Armeńczyka nie rozumieją ich współcześni;

Taki był koniec mojego żywota,
Śpiewany długo w kraju przez Rapsodów,
Którzy nie doszli, w czem była istota
Czynów? w czem wyższość od rzymskich [Herodów?

*) „Bóg mnie obronę przyszłości poruczył“ *Beniowski*.

Nic to, że bohater stoi sam niewspółczuty i niepojęty przez współczesnych, ale że jego dusza jest też w ciągłej pielgrzymce do swoich przeznaczeń, wciąż grążąca się w odmęcie błędów — i wciąż wydobywająca ostatnich sił na dalszą drogę, przy której końcu świeci ta „w zaraniu żywota“ ukazana idea, „córka Słowa, Pani, któregoś z ludów na północy“. A wciąż w tej wędrówce cisnąć mu przychodzi „w piersiach rękami obiema tę serdeczną ranę, że jej niema!“ Jej, która bezdomność jego uleczyćby mogła.

* * *

Bezdomny poeta znalazł wreszcie po zatargach życia, ostatnie, najpewniejsze schronisko — grób; idee jego pozostały nadal bezdomne. Nieporozumienie między jego duszą, a duszą wielu, trwa i długo jeszcze trwać będzie.

Słowacki był próżny — bo nie poszedł za oklaskami, nie skapitulował przed popularnością, odrzucał kompromis:

W drogę choćby niepowrotną
Ale prostą — naprzód twarzą!
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą.
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
Co przyciąga lud do siebie
Niesłychanym, bożym czarem!

A my? — jesteśmy wszak pokorni.

Słowacki był chwiejny i sprzeczny — dusza jego, jak kwiat na rosę, otwierała się na każdą wielką prawdę, na każdą wielką nowinę ludzkości.

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa,
Bo są ludziom jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa.

My — jesteśmy mądrzy t. j. ostrożni, ale ostrożność to więcej niż mądrość. My wolimy małe kłamstwo, niż wielką prawdę.

Słowacki był marzycielem; on wierzył, że kiedyś będzie jakiś naród walczył:

Choć tak rozpaczny — nie w imię rozpaczy,
Choć taki mściwy — a nie w zemsty imię.

Słowacki był niespokojnym duchem, liberałem, rewolucjonistą itd... Zresztą poco to mówić, mógłby ktoś jeszcze wziąć to za „mętne i szkodliwe wskazania dla narodu“. Tymczasem są to wskazania „dla wszystkich i dla nikogo“. Kto chce je podjąć musi bezdomnne idee poety ożywić własnem ciałem, własną krwią je nakarmić. Idee zaś poetyckie, to nie teorematy, ale nakazy życia psychicznego, które razem wzięte, dają typ pokrewny poecie, bo są niczem innem jak objektywizacją i uzasadnieniem tęsknot lub typu danego poety. Podjąć więc je znaczy tyle, co poddać się procesom upodobnienia z typem poety, indywidualizując go wedle siebie; zatem przy zmienionych warunkach, zmienionej skali i elementach działania tą samą metodą odszukiwać nieśmiertelność swoją t. j. zawartą *in potentia* w dyspozycjach natury swojej wartość zrealizować i powiązać ją z ogólnym rozwojem ludzkości.

Kto wstępuje na ścieżkę tęsknot Słowackiego,
— tęsknot ku wielkiej miłości,
. . . która serce przeobraża
I niewolnika przedzierzga w człowieka.
— tęsknot ku wyzwolinom ducha ludzkiego z kajdanów ciemnoty i chocholich pęt nicości
— tęsknot ku wszystkiemu, co daje potęgę ducha i doskonały wyraz jej
— ten musi być przygotowany na „twardą bożą służbę“ i zdać sobie sprawę, że „mogąc wybrać, wybrał zamiast domu gniazdo na skałach orła“.

Lwów 23. sierpnia 1906.

Adam Zagórski.

Maryla Czerkawska.

DROGA W MARZENIE.

Patrzę w słoneczną, purpurową kulę,
Co za drzew ciemną zapada koronę
I białe kwiaty, pieszczoty spragnione,
Do ust gorących, rozchylonych tulę.

Słońce się stapia powoli — powoli...
Krąg krwawy blednie i, jak puhar pełny,
Wylewa złoto na chmur śnieżne wełny
I na mdłe listki przydrożnych topoli.

Progami cieni i przez blasków schody
Idę bez celu, bez pamięci, woli...
W ostatniej złotych blasków aureoli,
Idę w marzenia czarowne ogrody.

Tam na mnie czeka me szczęście promienne,
Tyle uśmiechów, łez, radości tyle...
Wiosna i miłość — kwiaty i motyle —
I skarby uczuć ogromne, bezcenne.

Tam na mnie czeka mój królewicz młody,
Dziewiczych moich snów wieniec mirtowy...
Słońca zapada okrąg purpurowy...
Idę w marzenia czarowne ogrody.

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

Lud uspokoił się — 3. grudnia puszczono Konstantego, 4-go Wincenty Krasiński i Kurnatowski, przez niego wydani, przysięgali na klęczkach wierność Narodowi, nim uciekli do Petersburga, do cara; 5-go Chłopicki ogłosił się Dyktatorem i przy pomocy „umiarkowanych“ Akademików (tacy są po dziś dzień w Warszawie) rozpędził do krocset fur, beczek, bataljonów miljonów djabłów cały klub patryjotyczny z Maurycym Mochnackim i Ksawerym Bronikowskim. Stał potem trzy miesiące pod Warszawą, czekając, aż Moskale raczą do niej przywitać — i podał się do dymisji.[1]).

Niech mi będzie wolno zrobić tutaj uwagę, która, chociaż napisana siedmdziesiąt dwa lata po Listopadzie, jest podług mnie zupełnie słuszną, tem bardziej, że się najzupełniej zgadza z poglądami ówczesnych ludzi, których osobiście znałem, i samego ojca mojego. Krasiński, Kurnatowski, Lubecki i inni byli bez wątpienia zdrajcami sprawy narodowej, bo przeszli do nieprzyjaciela pomimo uroczystych przysiąg i przyjętych na się obo-

[1]) Ob. Maurycego Mochnackiego „Powstanie narodu polskiego w r. 1830“ i „Wielki Tydzień Polaków — Warszawa 6 grudnia 1830“.

wiązków; historja ich przeto należycie napiętnowała. Ale cóż powiedzieć o tych, którzy, jak Czartoryski, Chłopicki *et tutti quanti* przyjęli na siebie kierownictwo ruchu „w imię Króla Polskiego przeciw Cesarzowi Rosyjskiemu“, hamowali całe powstanie, czekając, aż masy moskiewskie nadążą, potem parlamentowali ciągle po zwycięstwie, aż nareszcie poddali się z Krukowieckim i Ramoriną? Tamci przynajmniej otwarcie wyparli się imienia polskiego; ci częstowali rewolucję judaszowskimi pocałunkami, a w swojej kolosalnej głupocie nie mogli zrozumieć, że oni najgorzej na tem wyjdą, osobliwie Czartoryski, że będą nietylko zdrajcami, ale zdrajcami ze stratą. Takiego połączenia zdrady z idjotyzmem prawie niepodobna sobie wyobrazić.

W takiej smutnej alternacie można było przynajmniej z Chłopickim czekać w szeregach, jako cel dla moskiewskich armat i karabinów, i Szwarcowie, z nosem na kwintę tego uczynić nie omieszkali. Józef wstąpił do I. pułku formujących się Mazurów (nowych ułanów: granatowe mundury, żółte wyłogi), Jan do artylerji pieszej (baterja Nieszokocia) a Feliks do konnej. Ten ostatni powędrował pod Stoczek z Dwernickim: Józef był pod Białołęką z Krukowieckim, Jan pod Grochowem, w jednej baterji z wujem Janem Ekeltem, a kiedy kirasjerzy ks. Alberta baterję zdobyli, a raczej cwałem przez nią przelecieli, gdy już nie miała czem strzelać, obaj położyli się z innymi plackiem, bo Kirasjerzy na swoich ogromnych koniach pałaszami do ziemi dosięgnąć nie mogli. Stryj ocalał, a po wytępieniu pułku, wjechał tryumfalnie na Pragę na kirasjerskim koniu, na którego musiał go piechur podsadzić ; biedny wuj Jan dostał po głowie końcem pałasza i w kilka miesięcy później z tej rany umarł. Trzeci Jan z naszej rodziny, mój stryjeczny stryj, syn Michała Szwarca, zginął pod Ostrołęką. Gdzie wojował mój ojciec po Białołęce, pod którą przysłuchiwał się, zgrzytając zębami, Grochowskim armatom, bo Krukowiecki na ich wołanie podążyć nie chciał — tego szczegółowo nie wiem ; ale domyślam się, że był ze Skrzyneckim pod Dębem i pod Iganiami, póki się nie dostał razem z całym personalem X. Adama Czartoryskiego do Ramoriny — już miał Józef Szwarce szczęście do zdrajców! Dość, że z tym patryjotycznym księciem i sławnym generałem przeszedł kordon i złożył broń w Galicji we wrześniu 1831 r. O swojej galicyjskiej Odysei ojciec mi nie opowiadał: wiem tylko, że dostawszy się do Krakowa, bo nie chciał zostać jak inni pod dwugłowym orłem, a spieszył do niby rewolucyjnej Francji, wpadł na chybił trafił do Szwarca na Grodzkiej ulicy i przy jego pomocy podążył do Bezansonu, gdzie się wówczas polska emigracja gromadziła.

Tatuś był widocznie gorąco kąpany, kiedy i tam nie mógł cicho siedzieć; zresztą owacje Niemców po drodze (quantum mutati ab illis!) wmówiły w niego, że tylko dmuchnąć i ogólna rewolucja nastąpi — a on przecie wyśmienicie ich szwargotanie rozumiał. Więc kiedy w 1831 i 1832 roku nasza emigracja obmyślała wyprawy do Szwajcarji, do Piemontu, do Niemiec, Józef Szwarce musiał koniecznie do tego należyć. Trzeciego kwietnia 1833 roku miało nastąpić w wolnem mieście Frankfurcie, zajętem przez garnizon austryjacki, powstanie urządzone przez stronnictwo republikańskie; jednym z głównych spiskowych był znany pisarz Ludwik Börne. Udano się do Polaków, których otaczała aureola bohaterskiej walki przeciw najpotężniejszemu ówczesnemu mocarzowi, podporze absolutyzmu i reakcji w całej Europie: ojciec mój był naznaczony z Garczyńskim dla przewodniczenia powstańcom.

Józef Szwarce z Garczyńskim zostali przeszwarcowani przez Ren, Badeńską granicę, dążąc do wolnego miasta Frankfurtu, by pokazać Niemcom, jak się rewolucja robi. Niestety: spóźnili się i kiedy przybyli wieczorem do dawnej niemieckiej stolicy, już było po wszystkiem: napad na główny odwach nie udał się, rewolucja pierzchła, były tylko puste ulice z krążącymi austryjackimi patrolami. Na *wer da!* podoficera, Garczyński, silny chłop, jak ojciec opowiadał, pięścią (broni nie było) pokonał podoficera, żołnierze drapnęli i nasi dwaj wojownicy dostali się nareszcie do wskazanego domu, gdzie ich przywitano słowami: *Her Jeses! alles ist verloren.* Nie było rady: przetransportowano ich nazad dyliżansem do Strasburga, i wówczas jedyną mieli, grożącą śmiercią, potyczkę: bo ich schowano na wierzchu dyliżansa między pakunki, a rożen celnika, szukającego kontrabandy, ledwo ich nie przebił. Taki był koniec udziału ojca mojego w niemieckiej rewolucji.

Ludwik Filip I., król Francuzów z łaski barykad, który dotychczas patrzał przez palce na polskie wybryki, dostał nareszcie od Mikołaja I. półuznanie (nigdy car nie chciał do niego pisać *mon frère* a tylko *mon cousin*) i odpędził naszych emigrantów od granicy wschodniej, roz-

rzucając ich po całej Francji, w tak zwanych zakładach (dépôts). Ojciec należał widać do najbardziej skompromitowanych, bo go zapędzili aż do Bretanji, najdalej ku zachodowi i tak się znalazł w Dinan, powiatowem mieście departamentu Côtes du Nord; gdzie został internowany. Tam byli i inni Polacy, z których pamiętam jedynie: mojego ojca chrzestnego Antoniego Chrząszczewskiego z Hołowaniewskiego na Ukrainie (dziś w podolskiej gubernji), wnuka czy syna znanego Targowiczanina; lecz chlubnie okupił winę swojego przodka i stracił nogę pod Ostrołęką; służył w artylerji i należał do spisku Wysockiego (Mochnacki I. 571); Stanisława Bagieńskiego podpułkownika artylerji, Napoleończyka, Litwina, o którym później opowiem długo i szeroko; Ramotowskiego, w powstaniu 1863 roku Wawra; mieszkał w Rennes i ożenił się z Francuzką; wysokiego czarnego Kaliszanina Ząbkowskiego, grenadjera, wielkiego mojego przyjaciela w latach dziecinnych; służył potem przy kolei zachodniej w Maintenon pod Paryżem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

STEFANJA ŁOZIŃSKA.

ZOŚCYNE WESELE.

(Dokończenie).

Złoty blask uderzył w małe szybki, co chwilę ciemnieje w miedź i zalewa izbę, sprzęty.

Słońce gaśnie.

Już ostatnia fura zbiórek[1]) zwieziona. Jasiek spojrzał na skrzypiące wrota stodoły, zdjął kapelusz i żegna się... stoi tak — a liście jesionu, wcześnie uschnięte, sypią mu na głowę płatki żółte... czerwonawe... bogacz on z garści bożej!

Wszedł do chaty.

— Pokwolony...

— Na wieki — odpowiada Zośka, nie patrząc.

— Dobytek wsytek je... mówi radośnie.

— To i co?.. wzrusza ramionami. Jaki on głupi... niby ona tego nie wie; i jeszcze spiesznej odstawia z ognia garnki z wieczerzą.

[1]) Plon.

— Ty se tu wieczerzaj... mówi głośno, a ja polece, bo... ucięła — matusia...

Markotny popatrzył na „swoją“, drapiąc się w głowę.

— Zośka-a!..

— Noo?..

— Ostań! — prosił. Widzis... dobytek je... jarmak jutro... kupis se, co-ć potrza — namawiał. Ostań...

Żałośnie mu być poczynało, że go tak wciąż odlatywała; jadła jeno a roboty dopatrując — zresztą jej nie miał. Dziewczyna chustkę wiąże, milcząc. — ...Jesceś od ślubu nie ostała by roz... Cisza.

— ...poźryj!.. cym ci nie rod?.. Gazdyniaś ty przeciek...

Nijakiej odpowiedzi.

Teda wyciągnął nieśmiało ręce i w pół ją uchwycił, do siebie przyciągając, a Zośka jak się nie odwinie... jak nie pchnie go łokciem w piersi... stołek wywróciła, skokiem wypadła na ulicę; jeno jej różowy gorset mignął się za opłotkami matusinej chałupy.

— ...jakby me nożem śtuchła... I bez co jo taki? ...pytał. Nie chwalęcy, sytko mom... i zywinę[1]), dobytek, chałupsko, jak się patrzy, jeno baby nijak...

Kole gospodarstwa, to — ta Zośka ciekawa, sprawnie swoje odbędzie i... idzie.

Frijirzów ni mo — to wie!.. a roz to lunęła bez to jego całowanie... kuń-duś[2]) by, nie rada mu!

Na pikne zecnił... on! ...chłop do syćkiego!

. . . .

— Zośka myje statki a oczyma wybiega do okna; co chwilę droga dzwoni wozami, śmiechem, nawoływaniem — kto żyw, na jarmark jedzie, abo idzie!

I ona pódzie!...

Soli jeno trzeba, ale zabawi do juzyny[3]).

Jasiek brzytwę czyści, zerkając na dziewczynę.

— Zośka-a!...

— No-o?...

— A to dzisiok seść misionców, jak my sie pobrały...

— Na moje pokaranie — myśli Zośka, ale milczy.

— ...bez to ostanies doma — ciągnie chłop „śpasem“[4]) — a ja póde... krzyne zabawie...

— Niedoczekanie!... wyrwało się zaperzonej dziewczynie.

[1]) Chudobę. [2]) Ani trochę. [3]) Podwieczorek. [4]) Żartem.

Chłop porwał się i dyszący patrzył. Opuszczała go zwykła dobroć...

— ...onacys?

— ...onacę!

— ...dobytek mój!...

— ...to se go zjidz!...

— ...to ja sie wse tak bede marniuł!

— ...olaboga! wykrzykuje Zośka i chce wybiedz. Żylaste ręce chłopa uchwyciły ją za ramiona i obróciły twarzą w twarz.

— ...noo! kto tu pon? godoj... dyszy. Dziewczyna płomienieje jak mak, usta otwarła...

— ...bees kunirować?... na śmich wystawujes... to jo ci pies?... godojze!... trzęsie nią... ty!... ty!...

Nie umie słowa naleść i tak ją trzyma, cały spotniały, nabrany krzywdą swoją, choćby mu słowo dobre rzekła, czuje, żeby jej odpuścił... niechby!... Złość go opuszcza... W tej-że chwili, Zośka plunęła mu w twarz, śliną ostrą, jak jad, złość, wściekłość... Chłopu zadrżały policzki i ściągnęły się w jakimsi kurczu. Z całej mocy obalił dziewczynę na skrzynię i zerwanym rzemieniem ciął ją po plecach, biodrach, nogach... aże mu się wyrwała spocona, dygocąca i rzucając: sietnioku!... ciarachu!... pędem wybiegła.

A jego całkiem złość opuściła i opadł na ławę. Wrzało w nim, czuł, że nie strzyma, więc nacisnął kapelusz i co prędzej wyszedł do stodoły, zaszył się między zboża snopy, w kłęby siana i markocić począł do cna.

— ...tak go sponiwierała... żalił się.

A byłby jom nie rzezoł... wiera[1]) — nie!

Kcioł ino bez strach, kiej teli cas po dobroci nie mógł. A ona co?... Ale jak było ścierpieć, kiej mu napluła... chłopu?... Przeciek on dla niej miłowanie ma... po coze bił?... Moze sie teroz utopi?... ojej!

I ból ma i strach.

...nijakiego mu ratunku szukać; jeno się do dnia wysłucha[2]) a zmiłowania prosić Poniezusa.

I bije się w piersi, i depce kolanami boisko, drżący cały: ...kieby zło na nią nie przyszło — prosi — wysłucha sie... Wreszcie się trochę uspokoił. Czuł żal, bo miękkiego był sumienia; a tak go teraz i trapiła na wnętrzu niepewność, czy chłop może iść za „babom" — czy nie? Ale, po medytacjach poszedł chyłkiem wyzierać.

———

[1]) Zaklęcie. [2]) Wyspowiada.

A zaś po owem „rzezaniu" poleciała Zośka do matusi; a że ta dopierutko na jarmark poszła i nie było kogo doma szukać, więc pognała dziewczyna w wiklinę nad rzekę. Jak na sam raz Matusowa Józefka rajbie[1]) łachy.

Kanafaskę[2]) podgięła a czerwone nogi omywa jej woda; wywija kobieta kijanką aż się rozlega.

— Ki-djaśni!... Zośka!... dzie gonis?

— Sukom gęsi, co mi sie kajsik zatraciła...

— O!... gadali... co cie Jasiek wyproł?!

— Dy kto?...

— Kubów Wojtek...

— Dy kiedy?

— A teroz!... zaźrał... pada... bez okno i widział, jak cie prał.

—Brechoł jak pies!... Zebym tak oślepła zarasicek![3]) Brechoł... po co by me pieroł!...

— Bez to, co odlatujes i doma nie sipios...[4]) ojej! cało wieś wydziwio! Ale ty sie Zośka waruj! z chłopem nima co, odwyzcys[5]) kuńduś[6]) — a pomstowanie, a?!...

Kobiecie kijanka wypadła a Zośka poczęła biedz między krzakami, upatrując postronnego miejsca. Zbiegły się w jej sercu: bezsilna złość na chłopa, ból z pobicia a teraz i ludzkie gadania. Wiedziała, kiedy od Kubów zobaczyli pranie, wszyscy ją wyśmieją, gdzie stąpi.

— ...pierony na takie życie!...

To ostatnie bardziej jątrzyło niż razy.

— ...utopi sie, abo co!...

Wodny wir, nad którym siedziała, przerażał ją. Dotknęła ręką plec — zabolały.

— ...bodajcie pokrenciło!... Uprał jom! a taki nie myślała, aby sie obyrtnął!... ...telo co ludziom do tego? — kiej to jej chłop!... juści jej!

Rozmyślanie, jak ujść ludzkim „wyrceniom", łagodziło nienawiść do Jaśka.

— ...rady? Ano... od chłopa sie już nie uzwoli; ale pyski ludziom pozamyka...

Upor nakazywał nie iść zaraz. Przygładziła włosy, i wyciągnęła się na trawie i leżała do słonka.

— ...na odwiecerz[7]) pódzie, a taki sie niech zatracony strachu naje...

Słonko całkiem zbladło a księżyc jak bochen z za góry wyglądał, kiedy Zośka wypoczęta a głodna szła do chałupy. Jakosi pod dźwirzami zatknęło ją od dziwnego lęku ale... przecie jej głowy nie urwie!... Weszła — dla ludzkiego gadania.

[1]) Pierze. [2]) Spodnicę. [3]) Zaraz. [4]) Sypiasz. [5]) Odpowiesz. [6]) Co bądź. [7]) Wieczór.

Jasiek, jak zwyczajnie, pod piecem siedział. Zobaczywszy ją, chciał zagadać, jako ze strachu o nią paciorze mówił i wyzierał nad wodą, jako sie teraz uradował... ale milczy. Bo jakże? — ambit ma.

Czekał ino, co dalej będzie i postanowił nie sprzycoć.[1])

Dziewczyna bez słowa zabrała się do warzenia, on ścigał ją oczyma.

Oboje milczeli.

Po wieczerzy nie poszła.

Usiadła na skrzyni i poczęła układać chusty, mocno się tem zajmując. On wreszcie powoli... z namysłem usiadł koło niej, wyjął z łóżka długą słomę i mechanicznie w palcach obracał.

Chwila...

— ...taki ostała! — myślał. A wahając się, pociągnął ją nieśmiało słomą po ręce.

— ...ee! cicho odrzekła, nie odsuwając się.

Tedy on dygocąc.

— ...Zośka-a!...

— ...no-o? spuściła głowę, pilnie czegosi upatrując na podłodze.

— ...miesioncek świci...

— ...aha-a!...

Cisza.

— ...kiebyś... ostała?! — szepnął.

Zamarło w nim serce z czekania.

— ...juści-i?... przekomarzyła się.

Dygota nim a w tej cichości wieczornej słychać drżenia. Ogarnął ją znagła ramionami, przywarła doń bez oporu.

— ...moja-ś?... rada bees?...

— ...juści-i! tchnęła.

Odczuwała moc jego i chciwe, szukające wargi.

...a miesioncek świecił i kładł długie, białe blaski po świętych obrazach, po rozkołysanej ciszy i otulał światłem tych dwoje.

Stanisław Mendelson.

JOHN OLIVER HOBBES.

(Pani Craigie).

1867—1906.

Amerykanka z pochodzenia, córka jednego z bogaczy transatlantyckich, który przeniósł się z rodziną do Anglji, młoda Perla Marja Teresa Richards urodziła się w czasie wojny domowej między południowymi a północnymi Stanami Ameryki północnej. Rodzina jej — Morgan Richards — należała do patrycjatu amerykańskiego; dziadek był popularnym działaczem w Massachussets. Również i rodzina matki zajmowała stanowisko poważane w Nowej Anglji.

Tem niemniej rodzina amerykańska, która w owych czasach przenosiła się do Anglji, nie mogła się wyzwolić od czaru t. zw. „towarzystwa angielskiego“. Nie dziw więc, że 19-stoletnia Perla oddała swe serce, rękę i posag oficerowi wojsk angielskich w Indjach, panu Craigie. Pożycie małżeńskie nie było bardzo szczęśliwem. Mieliśmy sposobność czytania aktów prawnych ze sprawy rozwodowej małżeństwa Craigie i wspominamy o tem, gdyż to nieszczęśliwe życie osobiste po części tłumaczy nastrój, a po części jeszcze więcej podkreśla niektóre strony charakterystyczne talentu literackiego zmarłej autorki.

Życie jej zaledwie rozpoczęte a już tak wzburzone oddaje wiernie tytuł pierwszej powieści, którą wydała w 1883 roku, mając zaledwie 25 lat życia. „Kilka wrażeń i nauka moralna“ — oto tytuł powieści rzeczonej; kilka wrażeń i gorzka nauka życiowa, oto pierwsze podsumowanie życia tak jeszcze wczesnego.

Lekki nastrój satyryczny i bogaty zasób dowcipu uchroniły ją od pesymizmu po owej sprawie rozwodowej, przykrej i strasznej w szczegółach, tak strasznej, że wolimy o niej zamilczeć. Ale te cierpienia wyniesione nie popsuły jej nawet marzeń i złudzeń o towarzystwie, które widziała, w którem żyła i które ją olśniewało. Być może, że jej ironja została stępiona, uderzając o puklerz wielkiego nad sobą panowania, jakiem się odznacza lepsza część arystokracji angielskiej. Z drugiej strony nawet gdzie dzikość i brutalność się przejawiała, tam ostrze jej satyry nie mogło przedostać się przez pokost nieprzebity hypokryzji i maskowania. Słowem, że młoda pisarka, tak trzeźwa i tak bogata w dowcip, wolała marzyć i wytworzyła w swych dwóch powieściach najlepszych („Szkoła dla Świętych“ oraz „Robert Orange“) świat tak idealny, że nawet najwięcej przejęci hołdem dla arystokracji angielskiej — mówili o nim, że „być może takim światem moglibyśmy zostać, gdyby nie . . . rzeczywistość“.

Otóż świat taki pod piórem innego pisarza byłby ckliwym i nieznośnym; pani Craigie dolała jednak tyle blasku, tyle dowcipu rozumnego

[1]) Nie przeczyć.

tyle światła mieniącego się „konwersacji“ spółczesnej Anglji, że powieści te zostaną jeszcze dla wieku XX. lekturą żywą i przyjemną.

Gdy ukazała się powieść „Szkoła dla Świętych“, jedno z pism ironicznie zanotowało ten fakt, że dwaj wybitni politycy z obozu radykalnego, obaj arystokraci — poseł Labonchere, londyński „polisson“ (niecnota) i Karol Dilke czytają razem dzieło John Oliver Hobbes'a (pseudonim powieściopisarki) i nie mogą się oderwać od książki, w której chyba nie własnego wizerunku szukają. Było w tej uwadze zbyt dużo złośliwości, gdyż obaj pomimo swej złej sławy mieli nietylko dosyć rozumu i dowcipu, ale i rycerskości pewnej, by zrozumieć siłę ideału, który pani Craigie wszak także tylko z marzeń wysnuła.

Pani Craigie przypomina może chwilami Dizraeliego. Jej styl znacznie piękniejszy i silniejszy, nie może jednak zastąpić bogactwa myśli i szerokości horyzontu, z jakiego Beaconsfield patrzał na ludzi z arystokracji angielskiej. To też, gdy pani Craigie stworzyła jednego Roberta swego, już tylko powtarzać się i to w półśnie mogła.

Musimy nadmienić, że Pani Craigie przeszła na katolicyzm. Otóż w Anglji istnieje pewne koło starej szlachty katolickiej, które przeżyło w dziejach wszystkie prześladowania religijne od czasów Henryka VIII. i które zachowało pewną godność męską, połączoną ze sentymentalnością uczciwą. Nie wierzenia, ale światopogląd życiowy, w którym się obracała Pani Craigie, utrzymał jej idealizm i wiarę, że ludzie mogą panować nad życiem.

Słaba strona twórczości Pani Craigie wynikła stąd, że po wymarzeniu swego Roberta nie widziała niczego innego. Musiała ona sama odczuwać brak twórczości, gdyż przerzuciła się do... komedji. I tu pozostał jej djalog świetny, ale życie jak gdyby schowało się za kulisy.

Wreszcie potrzeba tworzenia wyrzuciła ją z koła marzeń na inną widownię życiową. Ostatnia jej powieść była poświęcona mieszczaństwu prowincjonalnemu, pracującemu w „Winnicy“ nie bardzo przyciągającej. Była to próba niejako innego sposobu poznania świata.

I na „Winnicy“ się zatrzymała. Przed kilku dniami wróciła z wyspy Wight do Londynu — gdzie nazajutrz — dnia 12. sierpnia — znaleziono ją bez życia po nocy w samotności spędzonej.

Są jeszcze ludzie — powiedział jakiś pisarz francuski — którzy umierają na serce!

Pani Craigie miała lat 38.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Libański Edmund: W małżeńskiej klatce, komedja w trzech aktach. Księgarnia Powszechna. Lwów 1906.

Osią sztuki, — niemożność porozumienia się kilku par małżeńskich, które po latach współżycia przymusowego, poświęconego staraniu zharmonizowania przymusowego stosunku, widząc próżne swe usiłowania, postanawiają uwolnić się z „klatki małżeńskiej“. Na tem tle rozwija się szereg zawikłań, w których autor przeciwstawia konwencjonalnym zapatrywaniom „opinji“, postępowe dążności ruchu emancypacyjnego. Wykazanie anormalności dzisiejszych stosunków małżeńskich, śmiesznych dla widzów, lecz tragicznych dla jednostek w „klatce“ zamkniętych — myślą przewodnią sztuki. Słabe jednak przeprowadzenie i nienaturalne, nadto fałszywa często psychologja osób i liczne *„deus ex machina“*, osłabiają sztukę i wypaczają myśl przewodnią.

t. c.

Raleigh Tomasz: Elementarne zasady polityki, przetłumaczył z angielskiego dr. J. Polak, st. 160. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1906 r.

Achelis T.: Socjologia, przetłumaczył K. Krauz, st. 124, nakład St. Kucharskiego. Bibljoteka naukowa. Warszawa 1906 r.

W dobie obecnej społeczeństwo polskie potrzebuje więcej, niż kiedyindziej, szeregu dzieł popularnych, dotyczących zagadnień polityczno-ekonomicznych, prawnych i socjologicznych. Chodzi tylko o to: aby wydawcy kierowali się umiejętnym wyborem prac tego rodzaju. Niestety często bardzo bywa inaczej, wymownym dowodem czego jest wydanie w tłumaczeniu polskiem „Elementarnych zasad polityki“. Chociaż dziełko to doczekało się w Anglji aż sześciu wydań, nie waham się powiedzieć, że jest ono bez żadnej wartości, i że przedstawia tylko zbiór komunałów, nic nie mówiących, albo też dających błędne oświetlenie rzeczy; po za nimi w książce tej jest trochę wiadomości, bardzo zresztą ogólnikowych,

z zakresu życia konstytucyjnego Anglji.

Dla charakterystyki omawianego tu dziełka przytoczę kilka ustępów z niego. Tak np. na st. 8. czytamy: „monarchja powstaje przez poddanie się wodzowi w czasie wojny, lub przez szacunek dla przełożonego, jako potomka patrjarchy plemiennego. Arystokracja powstaje przez szacunek dla rodzin wywodzących w najprostszej linji ród swój od patrjarchy.“ Napróżno czytelnik szukałby opisu mechanizmu powstania władzy monarchicznej i arystokracji; autor powołuje się tylko na „szacunek“.

Na st. 17 w rozdziale czwartym pt. „Społeczeństwo nowożytne“ genezę jego autor wyprowadza w sposób następujący: „Społeczeństwo nowożytne wzięło początek z dwóch prądów panujących w wieku XVI-tym: z wskrzeszenia nauk i nauczania, które mianem odrodzenia oznaczamy i z wskrzeszenia zasad pierwotnego chrześcijaństwa, czyli z reformacji, obydwa te prądy ściśle łączyły się ze sobą, wspierając się wzajemnie, lubo nauka i religja działały każda na własną rękę i częstokroć w antagonizmie nawet ze sobą“. Następnie autor przechodzi do omówienia roli protestantyzmu, humanizmu i wbrew temu, co mówił poprzednio o genezie społeczeństwa nowożytnego, przypomniał sobie jeszcze o przemyśle i demokracji.

Co do tej ostatniej, to autor łaskawie uznaje jej niektóre zalety, mówiąc: „zasady demokratyczne wprowadziły znaczne ulepszenia w obyczajach świata cywilizowanego; system rządów zyskał na łagodności i rzetelności; samolubstwo rodzin uprzywilejowanych zostało ograniczone, a prawa wydają się z uwzględnieniem interesów warstw niegdyś upośledzonych...

Jednocześnie wszakże pilny dziejopis zasad demokratycznych spostrzeże nie mało błędów popełnionych; spostrzeże on niechybnie skażenie, jakie może rozwijać się na gruncie demokratycznym oraz przekona się, że głosowanie powszechne prowadzić może do niesprawiedliwych i szalonych wyników“ st. 25 i 26. Napróżno czytelnik oczekuje dowodów istnienia tych ostatnich. W ogóle pisarz poważny, o ile mówi o stronach dodatnich i błędach demokracji — powinien ściśle wykazać: kiedy, przy jakich warunkach ujawniają się dodatnie strony, a kiedy ujemne, oraz zbadać, czy te ujemne strony związane są z istotą demokracji, czy też są przejawem chwilowym, dającym się przy pewnych okolicznościach usunąć. Rozpatrywane tu rozumowanie autora jest typowem z powodu swojej płytkości i ogólnikowości. W ogóle Raleigh we wszystkich kwestjach trzyma się ogólników oklepanych i nie tylko, że nie rozwiązuje poruszonych przez siebie zagadnień, ale nawet nie daje czytelnikom żadnych metodycznych wskazówek do ich rozwiązania. Autor omawia też i sprawy ekonomiczne w taki sam sposób, jak i inne. Widnokręgi jego umysłowe są nader ciasne; ale odpowiadają gustowi umysłów leniwych, i ludzi bojących się sięgać do głębi w zagadnieniach polityczno-społecznych. Jeżeli robię wzmiankę o tej książce, to tylko dlatego, aby uprzedzić czytelników, że pod jej ponętnym tytułem skrywa się nicość.

Książka Achelisa jest dość popularna także, ale wymaga już większego nieco przygotowania od czytelników, niż poprzednia. Autor określa socjologję, jako naukę o formach społecznego współżycia ludzi. Określenie to częściowo tylko jest słuszne, gdyż nie podkreśla tego niewątpliwego faktu, że nauka ta nie zajmuje się i zajmować się nie może wszystkiemi formami życia społecznego, pozostawiając to innym naukom. Socjologja rozpatruje tylko to, co w życiu społecznem jest typowem dla grup ludzkich, w pewnych okresach ich rozwoju.

W części pierwszej autor zajmuje się historją socjologii, zaczynając od Platona i Arystotelesa. Właściwie mówiąc, trudno dopatrzeć się u tych myślicieli koncepcji socjologji, szczególnie zaś u Platona. Arystoteles starał się uchwycić pewne prawidłowości, powtarzające się stale w życiu politycznem; natomiast nie usiłował ich odnaleść w życiu gospodarczem, religijnem i kulturalnem; czasom współczesnym autor poświęcił zbyt mało miejsca, zatrzymał się tylko nad systemami: Comte'a, Quetelet'a, Spencera, Lilienfelda, Schaefflego, Gumplowicza, Letourneau i Bastiana. Pominął zaś zupełnie Ward'a, Giddings'a, Tarde'a, Durkheima i Simmla, że już nie wspomnę o innych, mniej wybitnych pisarzach z tej dziedziny wiedzy.

Część drugą autor poświęca stosunkowi socjologji do innych nauk, a więc do: bjologji, ekonomji politycznej i statystyki, polityki, historji, ludoznawstwa, prawa porównawczego, psychologji i etyki. Autor domaga się słusznie dla socjologji metody samodzielnej i objektywnej, wykluczającej analogję bjologiczną. Zwraca też uwagę na duży błąd metodologiczny, na „skłonność do uważania życia społecznego za sumę arytmetyczną czynów jednostek; w ten sposób, dodaje on, oczywiście niepodobieństwem jest poznać, choćby w przybliżeniu, jego właściwe znaczenie“. Achelis omawia też obszerniej nieco metodę psychologiczną i potrąca z lekka o materjalistyczne pojmowanie dziejów, nie zgłębiwszy go jednak dostatecznie.

Co do praw socjologicznych, to autor słusznie podkreśla ich charakter empiryczny, przeciwstawiając je prawom z dziedziny fizyki i innych nauk przyrodniczych.

W części czwartej autor omawia zagadnienia, dotyczące mowy, religji, ustroju społecznego i sztuki, moralności, własności, prawa, oraz stosunku jednostki do społeczeństwa.

W zagadnieniach filozoficznych autor czasami zajmuje stanowisko chwiejne, nie dość wyraźne. Np. mówiąc o przyczynowości i celowości a szczególniej o tej ostatniej, w zjawiskach społecznych, nie mówi dość wyraźnie, czy jest ona dla niego specyficzną formą przyczynowości, czy nie.

Książka Achelisa, chociaż nie zawiera żadnych myśli oryginalnych, może być jednak pożyteczną jako praca, że tak powiem, wstępna dla samouków w dziedzinie socjologji. Zresztą nie zawiera ona nic takiego, czego nie byłoby już nawet w naszej ubogiej oryginalnej i tłumaczonej literaturze socjologicznej.

Ludwik Kulczycki.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.